WIDNOKRĄG

TYGODNIK KULTURALNY

UKAZUJE SIĘ Z „NOWINAMI RZESZOWSKIMI"
Nr 17 (187)
Rok V
2 V 1965 r.

BURZLIWA MŁODOŚĆ — Fot. BOGDAN LOEBL

KRYSTYNA ŚWIERCZEWSKA

ŚWIĘTO

Gdzieś w świecie przerażony człowiek będzie chował swą twarz przed barbarzyńcą, któremu cywilizacja dała poczucie chwilowej siły, mierzone w bombach i gazach, gdzieś inny będzie krzyczał przeciw różnicom społecznym, jakie ewokuje sam kolor jego twarzy; wszędzie tam 1 Maja jest w dalszym ciągu walką, protestem, negacją dzikiej tradycji i sens jego tkwi w pochodzie, co roku bardziej powszechnym i bardziej groźnym dla praw skorumpowanej części świata.

Nauczyć się trzeba przede wszystkim jedności — powiada Bertold Brecht — wtedy można walczyć zwycięsko przeciw fałszywym prawom, które same się mordują na grobach zamordowanych. Ta niezwykle ekspresyjna wizja zamordowanego prawa w bezprawiu brudnej wojny przejmuje funkcję elementu przyśpieszającego czas sprawiedliwego spokoju w zmęczonych krajach.

U nas ten pierwszy dzień maja upłynie pod znakiem wyborów i świątecznych rozważań nad zmianami, jakie wokoło zaszły — nad gospodarskim obrachunkiem własnego udziału w rządzeniu krajem. Walczący charakter 1 Maja pozostał po trosze już za nami, pozostała czysta nazwa święta, a więc czasu spokoju, radości, kontemplacji. Zwykle święta są okazją do podsumowań tego, co zostało zrobione, do wytyczania perspektyw na przyszłość. Są okazją do zastanowienia się nad sprawami dużymi w kategoriach kraju i małymi, którymi żyjemy na co dzień. Nie jestem pewna, czy zdajemy sobie dość jasno sprawę z faktu, że właśnie te liczne małe, powszednie problemiki składają się na całokształt spraw dużych i one właśnie w sumie bilansują osiągnięcia i zadry naszego życia.

Jeżeli dwóch szewców w jednym miasteczku zwinie swe małe warsztaty i ucieknie do fabryki, przyjmując pracę robotników niewykwalifikowanych — ta w gruncie rzeczy mała sprawa rzutuje na profil gospodarczy miasteczka. Wyobraźmy sobie, że w tym samym mniej więcej czasie powtarzają się takie ucieczki w innych miasteczkach?

A więc nie gatunek czy ciężar sprawy decyduje o tym, że uznamy ją za małą lub dużą, lecz częstotliwość jej powtarzania. Kiedy ta ostatnia jest duża, to i sprawa przybiera charakter skomplikowanego problemu. I na tym, wydaje mi się, polega szacunek dla wszelkich przejawów życia i mądrość państwa, które w porę potrafi w drobnych na pozór zdarzeniach przewidzieć ważki w przyszłości problem.

Nie piszę tego dla teoretyzowania, ale właśnie teraz, kiedy stoimy w przededniu wyborów, projektów nowych planów małych i dużych, właśnie teraz wynikła konieczność mówienia o tych najmniejszych, ledwie zarysowanych problemikach, które w przyszłości stanowić mogą o stosunku człowieka do rzeczywistości. W lwiej części załatwiły to do tej pory konferencje wyborcze, które przyniosły w efekcie właściwe rozeznanie w tyglu spraw małych i dużych. I nie powinno nikogo śmieszyć, że jednakowym problemem dla przeciętnego człowieka będzie sprawa deglomeracji i nowych koszul non iron, produkowanych w Polsce, nieporównanie tańszych od komisowych, a przez to na razie nieosiągalnych w sprzedaży, czy problem rzemiosła w małych miastach i braku termometrów w wiejskim ośrodku zdrowia. Ten pozornie szokujący zestaw jest zarazem jedynym i najważniejszym świadectwem prawidłowej normalizacji życia, wynikiem czasów pracowitego spokoju, w którym ważne miejsce znajduje się dla zapór wodnych i estetycznie urządzonego mieszkania, dla lodówki i książki — techniki i humanistyki. Zachowanie zrozumienia dla tak rozłożonych akcentów wydaje mi się zasadniczym warunkiem każdej stabilizacji gospodarczej. Tym bardziej że samo mówienie o pewnych brakach jest już pozytywnym dowodem wyższej cywilizacji oraz kolosalnego wzrostu wymagań i codziennych potrzeb. Idziemy z nimi do wyborów i to dobrze na pewno; źle natomiast byłoby, gdyby przysłoniły nam sprawy natury ogólnej, których pomyślne rozwiązanie decyduje przecież o przyszłych zdobyczach na co dzień. O zwycięstwie przesądzają bowiem zawsze p r a w i d ł o w e p r o p o r c j e.

I kiedy pod pękającą zielenią pąków drzew na pierwszomajowej wędrówce pomyślimy o nich, protestując przy tym żarliwie przeciw pękającym pociskom i bombom — ten przedwyborczy 1 Maja upłynie nam w atmosferze zrozumienia spraw wszelkich.

KALMAN SEGAL — (FRAGMENT POWIEŚCI)

OSTATNI DZIEŃ KWIETNIA

W sobotę po południu niektórzy młodzi krawcy, szewcy i subiekci spotykali się na polanie w środku lasu i omawiali termin wybuchu rewolucji wszechświatowej. Czytali lewicowe gazety i Manifest Komunistyczny, oraz poprawiali teorie Kautskiego na temat ustroju państwa w przyszłych czasach.

W sobotę po południu w bożnicy przy długim stole siedziało kilku starców, a wśród nich reb Elejzer Mandelbaum i reb Arje Jodłowkier. Egzaminowali oni małych chłopców ze znajomości Pisma Świętego, a dorastającym kawalerom zadawali zawiłe i podchwytliwe, pełne zasadzek pytania dotyczące praw talmudycznych, lub tajemniczej symboliki, zawartej we wzniosłych księgach Zoharu.

W sobotę po południu buchalter Lipa Gałes porządkował szafę, w której miał setki książek. Przeglądał swoje zbiory aktów kobiecych i pornograficznych gazetek. A potem sięgał do szufladki zamkniętej na klucz i wyciągał z niej fotografię Anny Hasengang. Patrzył długo w jej smutne mądre oczy i ustami dotykał jej delikatnych, papierowych ust, tęsknił za jej widokiem i układał w myśli słowa, zdania i listy, których oczywiście nigdy do niej nie napisze.

W sobotę po południu czeladnik fryzjerski i pionier swobodnych obyczajów Nojech Bękart sprzedawał miłość i wdzięki dwóch niewolnic, które w tym dniu ubierały swoje najładniejsze fatałaszki oraz czystą bieliznę i na swój grzeszny sposób oddawały cześć siódmemu dniu tygodnia.

W sobotę po południu świat beztrosko oddychał szczęściem, słodyczą odpoczynku, ufnością w bożą opatrzność.

Hersz-Łajb Dobkies szedł ze swoją żoną na szczyt Kamiennej Góry, skąd widać było dolinę rzeki aż do rysujących się w dali konturów królewskiego wolnego miasta Sanoka, o którym tamtejsi Żydzi mówili, że to jest najpiękniejsze miasto na świecie.

Hersz-Łajb siadał oparty o biały brzozowy pień, Jechewet kładła głowę na jego kolana, i tak trwali oboje cichutko, wsłuchując się w szelest trawy uginającej się pod ciężarem pracowitych mrówek; konik polny wyskakiwał nagle z zieleni, świerszcz zaczynał gdzieś piłować, ptak zapiszczał w gąszczu jarzębiny, motyle przyfruwały i odfruwały. Hersz-Łajb milczał, żeby nie przeszkadzać żonie w drzemce. Ale Jachewet nie drzemała; myślała o tym, że jest jej dobrze, że świat jest piękny i miłość jest piękna, miłość Hersz-Łajba, który ma mocne ramiona i umie kochać tak jak ona lubi. A on, Hersz-Łajb patrząc na nią, myślał podobnie, i może w jego rozważaniach była jeszcze próba pytania, co to jest życie, i próba odpowiedzi, że chodzi po prostu o kawałek chleba, o trochę miłości i o trochę słońca. I tak rozmyślając Hersz-Łajb czule przesuwa dłoń po ramionach ukochanej. W jej łonie żyje i rozwija się ich przyszłość. Ich dziecko.

I tak między Bogiem a ludźmi, między pobożnością a grzechem i między niebem a ziemią zabawiali się ludzie w każde sobotnie popołudnie, o ile pogoda dopisywała, i o ile komary ciągnące znad Sanu nie były zbyt kąśliwe.

Ale w tym dniu zaszło coś, co zburzyło zwykły porządek sobotniego odpoczynku.

Około południa od ulicy Pułkownika Berka Joselewicza, a także u wylotu innych ulic pojawili się policjanci. Szli parami, ostrym krokiem, bagnety mieli zatknięte na lufy karabinów, tak jakby za chwilę mieli ruszyć do ataku, do szturmu. A między nimi szli aresztowani; dwóch policjantów prowadziło jednego aresztowanego, niekiedy zaś między trzema policjantami szło tych aresztowanych dwóch.

I wnet całe Miasteczko wiedziało już kogo posadzono. W zaułku Rzemieślników panował popłoch. Wiele młodych ludzi szukało kryjówek na strychach zawalonych rupieciami lub w piwnicach.

Zabrano już Juci Tragarza; jego matka roztworzyła szeroko okno na uliczkę, stanęła w tym otwartym oknie, wyrywała sobie włosy z głowy i do krwi drapała policzki brudnymi paznokciami. Klęła tych wszystkich, którzy nauczyli jej głupiego chłopca czytać i pisać i mieszać się do polityki. Jak długo Juci się nie mieszał, życie było życiem, a teraz jej żywiciel jedyny jest mordercą swojej matki, oby go cholera zatłukła, tego tragarskiego bękarta, razem z całą polską policją. Tak wrzeszczała i płakała matka Juci Tragarza, a przez otwarte okno wesoło wyfruwały na ulicę piórka z rozbebeszonych poduszek, w których policja szukała materiałów wywrotowych.

Więc Juci był jednym z pierwszych aresztowanych w tym pamiętnym dniu, w wigilię majowego święta robotniczego.

A razem z nim aresztowano w tym dniu wielu innych młodych ludzi z bardzo porządnych i pobożnych domów żydowskich, a także z bardzo porządnych i pobożnych domów chrześcijańskich.

Wiele matek płakało w tym dniu i wyrywało sobie włosy z głowy.

Oprócz Juci Tragarza i subiekta branży tekstylnej Lipy Gałesa, w tym pięknym wiosennym dniu aresztowano także Ajzyka Wejnyka, który był sekretarzem związku krawieckiego, malarza pokojowego i murarza Lisowskiego, garbatego Abruma Podgórza, który był synem przewoźnika na Sanie i siedząc godzinami na krypie w oczekiwaniu pasażerów, niczym mędrzec biblijny łowił ryby i rozmyślał o szczęśliwej przyszłości świata. W izdebce, gdzie mieszkał przewoźnik znaleziono dwie książki Lenina — to nazwisko było dobrze znane policjantom, więc książki zabrano jako dowody rzeczowe.

Z Wólki przypędzono Duwydka Nudelsztechera, delikatnego chłopaczka, który znał na pamięć wiersze Majakowskiego i Broniewskiego, a był synem zwykłego karczmarza.

Aresztowano szewca Wojtka Kwaśniewskiego, tego co miał w Olchowcach żydowską kochankę. Wojtka nikt nie znał, bo był cichy i skryty, znali go tylko klienci, którym buty łatał. Sławny był natomiast jego ojciec, dorożkarz, który nosił wiedeński melonik i srebrzyste bokobrody, równie piękne jak bokobrody Franciszka Józefa cesarza Austrii.

Z krawców zabrano młodszego brata nieodżałowanej pamięci Motke Papcika, tego Papcika, który uderzeniem w twarz zamordowany został przez policjanta. Młodszy Papcik nie miał jeszcze szesnastu lat, ale zapowiadał się na młodzieńca bystrego i inteligentnego, widywano go już niekiedy w księgarni Zysie Feniga, gdzie piękna córka księgarza wypożyczała mu książki; tak więc nic nie stało na przeszkodzie, żeby młody uczeń krawiecki zaczął przyzwyczajać się do twardej nary w miejskim areszcie i do woni kubła w kącie celi.

Z jakiejś zapadłej wioski w górach przyprowadzono kilku niemal bosych młodych chłopów; aresztowani szli i biegli pieszo; policjanci zaś jechali obok nich na rowerach.

Dionizego Papowicza długo nie było widać wśród aresztowanych. Pojawił się dopiero po południu.

Wszyscy aresztowani oprócz Dionizego siedzieli już bezpiecznie w policyjnej piwnicy. Za czasów austriackich przed czternastym rokiem ta piwnica była kurnikiem, w którym burmistrz chował kury. Potrzeby administracyjne, a szczególnie troska o polityczne bezpieczeństwo Miasteczka i okolicy skłoniły władze do wykorzystania kurnika na areszt. Siedzieli więc po ciemku w tym kurzym areszcie, siusiali do drewnianego cebrzyka, a od czasu do czasu wywoływano któregoś na przesłuchanie do pana przodownika Romanowicza, wielkiego specjalisty od wykrywania spisków antypaństwowych; był barczysty i opasły, miał świńską gębę i świński charakter — zawsze chętnie brał łapówki, ale nigdy nie spełniał swoich przyrzeczeń; taki był wredny.

Dopiero po południu przyprowadzono więc Dionizego i on był jedynym, który zachowywał się nie tak jak zwykle zachowywali się komuniści w Miasteczku. I to jego zachowanie budziło u ludzi dyskusje i kontrowersje, jedni twierdzili, że zachował się jak bohater i jak żołnierz wszechświatowej rewolucji. Inni oburzali się na niego. Bo wszyscy, których w tym dniu aresztowano szli spokojnie, z godnością, nawet taki pędrak jak młody Papcik szedł spokojnie z podniesioną głową, tak jakby szedł na bal, tak jakby Pana Boga złapał za nogi i trzymał — taka w nim była hardość. Nawet garbaty syn przewoźnika zachowywał się tak, jakby właśnie on reprezentował awangardę klasy robotniczej świata.

A jak zachowywał się Dionizy, były akademik i człowiek wykształcony? Szedł skuty, ręce ściśnięte w żelaznych bransoletach trzymał przed sobą, a od tych bransoletek zwisał żelazny łańcuszek — koniec łańcuszka trzymał policjant i prowadził Dionizego jak niebezpiecznego mordercę, a drugi policjant szedł z tyłu i popychał aresztowanego, by szedł prędzej. A Dionizy nie chciał być aresztowany bez walki, wyrywał się i kopał swoich konwojentów, usiłował uciekać i właśnie dlatego nałożyli mu kajdany. Szedł więc i krzyczał na cały głos, zwoływał tłum, żeby mu oznajmić, że jutro na całym świecie będzie wielkie święto, święto ludu pracującego miast i wsi, święto walki z reżymem burżuazji, policji i faszyzmu. I tłum szedł za nim, choć

(Ciąg dalszy na str. 3)

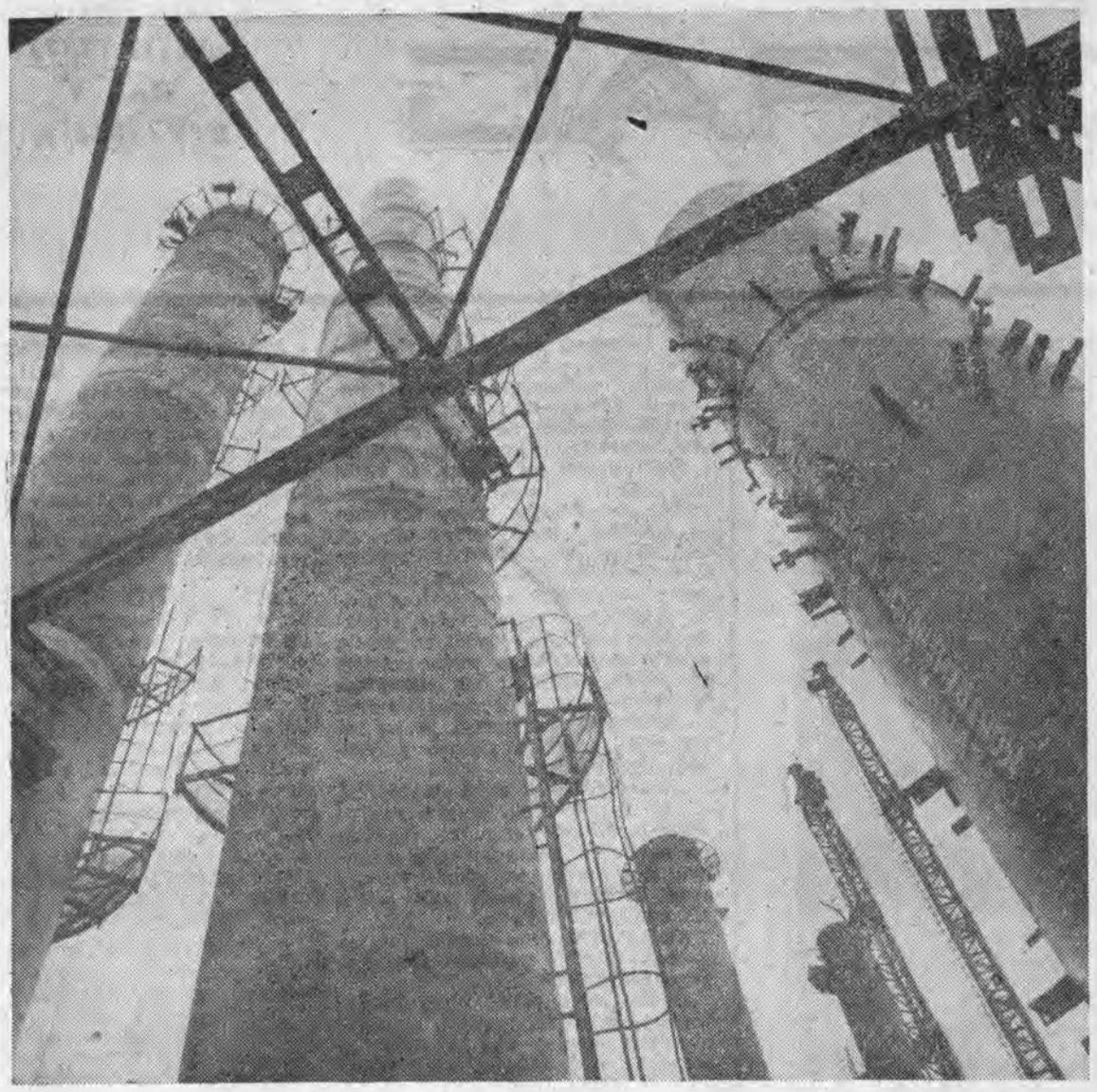

CAF — fot. MATUSZEWSKI

STANISŁAW GALOS

MOGIŁA NA ZIEMI PRZYJACIÓŁ

Jest jakimś ponurym symbolem szczegół, że pierwszym napotkanym przy wjeździe do Żarówki, w pow. mieleckim, człowiekiem, był inwalida — ob. C. B., niewidomy, bez ręki, prowadzony może przez 6-letniego chłopca. Właśnie o rozmowę z nim nam też chodziło... Wzrok i rękę postradał od miny, których tu — w pasie frontowym było wszędzie tysiące i jeszcze wiele lat po wojnie, mimo pełnej determinacji pracy saperów, dawały o sobie znać. Nasz rozmówca, który, niestety, nie znał interesujących nas szczegółów, miał niespełna 20 lat, kiedy to się stało, kiedy stracił oczy i rękę.

W Żarówce nie ma już oczywiście śladów po zburzonych domach. Ob. Stanisława Szczurka, rolnika, od którego spodziewaliśmy się dowiedzieć bliższych szczegółów na interesujący nas temat, zastaliśmy przed pięknym murowanym domem, niczym się nie różniącym wyglądem od tych z osiedla willowego na przedmieściu Mielca.

Znał on rzeczywiście znacznie więcej szczegółów, za którymi przybyliśmy do Żarówki. Po pierwsze dlatego, że w zawierusze szybko następujących po sobie wypadków w momencie zbliżania się w 1944 roku frontu, nie zdołał się skryć wraz z rodziną, jak wielu jego sąsiadów w lesie, w ziemiance. Pamięta, był czwartek, 24 sierpnia 1944 roku. Upalny dzień. Z rana jeszcze echo kanonady artyleryjskiej zdawało się nieść z daleka. Potem wszystko stało się jakoś nagle, oszałamiająco: dziki jazgot broni maszynowej pomieszany z ciężkim, napełniającym trwogą hukiem artylerii stał się tak bliski, że wraz z rodziną zdołał tylko zwinąć drobny węzełek z żywnością, przeskoczyć drogę i skryć się za wysokim brzegiem rzeczułki. Przycupnęli w krzakach. Widzieli z ukrycia, jak z odległości kilkudziesięciu metrów, gęsiego, skuleni, umykali bruzdą z bronią gotową do strzału hitlerowcy. Było ich dziesięciu, przesadzili drogę, wpadli między domy, stamtąd prosto do lasu. Kanonada artyleryjska jakby nieco osłabła. Nie wychylali jednak głowy zza skarpy. Nagle, po 15 może minutach od zniknięcia hitlerowców, ku ogromnemu swemu zaskoczeniu usłyszeli nad głową: Zdrastwujtie druzja, kuda germańcy?!

Po chwili z lasku odezwały się gwałtowne serie z broni maszynowej. Dwom hitlerowcom z dziesiątki nie udało się umknąć. Ob. Stanisław Szczurek nie przypuszczał wtedy, że pierwszy dzień wolności, jakże długo wyczekiwany, będzie zarazem pierwszym dniem piekła, które tutaj rozgorzało i miało trwać aż do połowy stycznia 1945 roku. Za wsią i przez wieś wiodły bowiem hitlerowskie linie obronne, potężnie rozbudowane. Co tu się potem działo, już nie wie: ludność cywilną ewakuowano na tyły. A więc i on, choć dużo nam opowiedział o pierwszym dniu wolności nie znał najbardziej interesujących nas faktów, tak samo jak i kilku innych potem indagowanych rozmówców.

Chodziło nam o rolników, którzy w 1944 roku w Żarówce zetknęli się z Natalią Dorofjewną, żoną majora Armii Radzieckiej, Iwana Ignatiewicza Kożuba i pospieszyli jej z serdeczną pomocą w tragicznej chwili. Pani Natalia Dorofjewna była także, jak setki tysięcy jej rodaczek, żołnierzem Armii Radzieckiej. W domu w Krasnodarze pozostawiła maleńką córeczkę. Z mężem nie widziała się od wybuchu wojny i właśnie tu, w Żarówce miało dojść do długo oczekiwanego spotkania. Oto co sama pisze w liście do działaczek organizacji rodzin wojskowych w Mielcu:

„We wrześniu 1944 roku jechałam do niego, z posiłkami dla ich dywizji. Nie udało mi się już z nim spotkać, ponieważ w międzyczasie poległ i został pochowany przez swych towarzyszy. Dywizja znajdowała się w lesie i ja spędziłam całą noc w jego ziemiance, gorzko płacząc. A potem jego towarzysze zawieźli mnie tam, gdzie on był pochowany. Przy pomocy polskich przyjaciół zdobyliśmy kwiaty, z których uwiliśmy wieńce i ja własnymi rękami położyłam je na mogile. Polscy towarzysze sfotografowali mnie przy jego grobie i fotografię tę przechowuję do dziś. Mój mąż był dowódcą oddziału operatywnego przy sztabie IX Krasnodarskiej Płaskińskiej Dywizji, dowódcą dywizji był wtedy generał Piotr Iwanowicz Metalnikow, a dowódcą 1 Ukraińskiego Frontu marszałek Koniew".

Major Kożub padł dnia 4 września 1944 roku, dwa kilometry od Żarówki. Staraliśmy się na miejscu w Żarówce ustalić, w którym miejscu poległ. Nie udało nam się jednak tego dokonać, jako że w tym mniej więcej czasie poległo w Żarówce około 40 Rosjan, których pogrzebali bądź towarzysze broni, bądź cywilna ludność, a potem, po wojnie wszystkich ekshumowano i przeniesiono na cmentarz żołnierzy radzieckich w Smoczce koło Mielca, gdzie spoczywa prawie 2.300 ludzi. Pani Natalia pisze, że sztab dywizji mieścił się w lasku i tam też miała się znajdować ziemianka męża. Istotnie — było tam większe zgrupowanie wojsk radzieckich w lasku przylegającym do wsi, od południowego wschodu i tam prawdopodobnie nastąpiła tragedia.

Major Ignatiewicz Kożub, urodzony był w 1915 roku, a więc w chwili, kiedy zginął, liczył 29 lat i miał całe życie przed sobą. Zginął — jak pisze w jednym liście jego córka — z dala od rodzinnego domu, ale na ziemi przyjaciół „Za wolność naszą i waszą".

Z panią Natalią Dorofjewną, wdową po majorze, kobiety mieleckie utrzymują stałą łączność listowną. Korespondencja trwa od stycznia 1964 roku, od chwili, kiedy „Głos Załogi", pismo zakładowe mieleckiej WSK, wydrukowało pierwszy list córki majora — Taisy, która prosiła o kontakt z ludźmi, świadkami śmierci ojca. Szczupły zasięg wewnątrzzakładowej gazety sprawił, że publikacja przeszła bez echa. W czerwcu br., dzięki staraniom energicznych działaczek — Alicji Nickowskiej, Marii Orczykowskiej i innych, wdowa po majorze przybędzie do naszego kraju, by odwiedzić grób męża. Będzie też w Żarówce, gdzie oczywiście gorąco pragnęłaby spotkać ludzi, którzy w pamiętnych i smutnych chwilach okazali jej tyle serca. Może tą drogą, poprzez publikację, uda nam się zdobyć ich adresy? Czekamy na nazwiska i informacje — za które serdecznie z góry dziękujemy...

Życie Gandhiego na ekranie

Znany angielski aktor Richard Attenborough zadebiutuje wkrótce jako reżyser. Jego pierwszy utwór zrealizowany zostanie na szerokim ekranie i trwać ma ponad 3 godziny. Będzie to filmowa biografia Mahatmy Gandhiego. Władze Indii nie wyrażały dotychczas zgody na dokonywanie zdjęć w tym kraju do kilku już projektowanych filmów o wielkim mężu współczesnych Indii. Projekt Attenborougha uzyskał jednak akceptację i pełne poparcie rządu hinduskiego. Konsultantką jest Indira Gandhi. Koszty filmu wyniosą około 5 mln dolarów. Obsada aktorska nie została jeszcze skompletowana. Nakręcanie zdjęć rozpocznie się w październiku br. i ma być ukończone w przyszłym roku.

STANISŁAW PIĘTAK

* * *

Piękne nie tylko jest niebo w obłokach nad zbożem,
pszczoły, gdy nawiedzają sad, płynące barwy kwiatów,
lecz i ręka staruszki jak uschły liść, ślad na korze,
porżnięta żyłami, pamięcią w nędzy przeżytych światów —
lecz i ruch robotnika, który poznał każde tchnienie swej maszyny,

bieg w ulewie słońca ciał nagich do mety,
wzruszenie artysty, gdy wiernie odtworzył wizerunek zmarłej jedynej,
śmiech w teatrze, idące od rzeki ze śpiewem kobiety...

Nad wszystko jednak — myśl o lepszym świecie,
która się w czystych oczach nad książką rozjarza.
Usiąść w półzmierzchu na niskim taborecie,
i patrzeć, patrzeć, jak uśmiech, duma, szczęście błądzi po zmienionych twarzach...

JULIAN PRZYBOŚ

Do robotnicy

W hali fabrycznej, aleją z rąk do rąk rosnącego żelaza,
rosnącego do ostrego szczytu:
do pocisku,
szedłem, jakbym rozstrzygał, spawając marzenie i siłę,
jak nadać im wspólny kształt
broni.

Liczyłem:
pięć młotów, ciężkich jak pięć lat,
w jednej chwili
dokonało na mnie
zamachu czasu:
sprawdzały moje dzieło poetyckie ręce robotników i robotnic.

Rytmem tysiąca ramion najszybciej obrotnych
jak wzruszę swoje ramię?
Pęd maszyn moją wolę przesilił.

Pozdrawiam cię, palaczko, szara gwiazdo iskier!
Twoja dłoń, odjęta od żaru, moją od pióra znalazła,
abym pisał wszystkimi uściśniętymi rękami.

CAF — fot. K[illegible]KOWSKI

KALMAN SEGAL

Ostatni dzień kwietnia

(Ciąg dalszy ze str. 1)

w dość dużej odległości, szedł i słuchał, a Dionizy krzyczał jak mógł najgłośniej, chociaż wiedział, że za każde słowo będzie musiał zapłacić, bo czeka go teraz policja, śledztwo, sąd: panowie w czarnych togach wystawią mu rachunek za agitację i za opór stawiany władzy. Ale skoro ma płacić, niech więc będzie za co! Ta myśl dodawała mu impetu. A oni, ci dwaj po jego prawej i lewej stronie ostro go popychali, bo chcieli to już mieć za sobą; trochę byli bezradni, bo nie wiedzieli jak zamknąć tę krzykliwę dziobatą gębę, nie chcieli go bić na oczach tłumu, nie mieli na to rozkazu. Nie wiedzieli czy postąpili słusznie, nakładając mu kajdanki.

A on czuł, że ma dzisiaj swój dobry dzień, natchniony dzień, bo to był dzień piękny, upajający wiosną. W taki dzień łatwo stracić głowę i dać folgę sercu. Od gór szedł powiew wiosny, wiosna nadpływała szczytami Karpat i doliną Sanu, potokami górskimi i strumieniami. Dawała znać o sobie zapachem ziemi, kwiecia i trawy, białą mgiełką kwitnących drzewek wiśniowych. Ptaki i motyle przynosiły ją na skrzydłach, a Dionizy Papowicz miał ją w sercu. Wiatr dął mu prosto w twarz. Wiatr całował piękną dobrą twarz Dionizego i wichrzył jego niesforne włosy; a potem ten wiatr oderwał się od niego i powiał uliczkami, swawolnie odrywając od parkanów błękitne plakaty reklamujące mydło do prania i nieco skromniejsze w barwach patriotyczne deklaracje pod portretami Naczelnego Wodza i Prezydenta państwa.

I tak oto przeszedł Dionizy przez całe Miasteczko i powiedział światu część tego co miał do powiedzenia.

A przed wejściem na posterunek rozglądnął się jeszcze raz dookoła i popatrzył na niebo tak jakby chciał dobrze zapamiętać jego błękit, a także barwy rodzinnego miasta, którego może długo nie będzie miał możności oglądać.

O zmierzchu koło magistratu kręcili się przechodnie, krewni aresztowanych, przyjaciele, sympatycy lub zgoła obcy ludzie, obcy, ale życzliwi. Komuś udało się przez strażnika podać do aresztu świeczkę, papierosy i zapałki. Ktoś inny ofiarował gazety.

Czarny Sojfer, samotny Żyd, który życie całe spędził na przepisywaniu Pisma Świętego, szedł środkiem ulicy i patrzył w niebo. Liczył gwiazdy wschodzące nad miastem. Gdy tych gwiazd zabłyśnie dziesięć, będzie to znak, że Pan Bóg zaczął już urzędować. W bożnicy zostanie odmówiona modlitwa wieczorna i można będzie wrócić do domu, zatemperować gęsie pióro i stanąć przy pulpicie do pracy nad nowym arkuszem pergaminu.

Ale gwiazd jeszcze nie było widać i stary człowiek dreptał powoli zaułkiem w stronę bożnicy, i słyszał ochrypłe dźwięki gramofonu, i widział wielu mężczyzn w towarzystwie kobiet, a także młode dziewczęta śmiejące się głośno, młode dziewczęta w kusych sukienkach i o dużych dekoltach. I pomyślał o swojej córce, która odeszła od niego. Ona również nosiła sukienki o krótkich rękawach. I także o tym pomyślał, że to stare Miasteczko było kiedyś jak zamek warowny o ścianach z granitu, i jak wieża z kości słoniowej wypełniona mądrością bożą i dobrymi obyczajami. To była twierdza, a Bóg był jej fundamentem. Co pozostało z twierdzy? Kramarze i ladacznice kruszą gmach świątyni pańskiej. Krnąbrni synowie ubliżają Bogu i jego prorokom. Gdzie jest Jezajasz, który przepowie im zgubę? Gdzie Jeremiasz, który stanie na murach płonącej świątyni?

Stary Sojfer smutno kiwa głową. A na niebie ukazują się już gwiazdy, jedna, dwie, trzy, a potem jest ich już dużo, niezliczona ilość. A od Sanu dochodzi rechotanie żab, a w głębi ulicy Berka Joselewicza dziewczęcy głosik śpiewa o żydowskiej kołysce, o złotym pawiu i o rodzynkach z migdałami.

Co to wszystko znaczy? — pyta stary Sojfer.

Wszystko to znaczy, że życie jest kruche jak kawałek dobrze wypieczonej macy i przemijające jak sen.

I że wieczny jest tylko świat. Obojętny świadek ludzkich losów. Urodzin, życia i śmierci.

Fot. CAF

ROMUALD LENECH

PRZYJACIEL JÓZIO

Mojemu przyjacielowi na imię Józio. Całkiem przyjemny człowiek, nie ma dwóch zdań. Powiedziałbym więcej: morowy chłop. Nawet mi trochę głupio, że ostatnio między nami jakoś popsuło się, coś jakby wygasło czy ochłódło...

A doszło do tego tak:

Przychodzę pewnego dnia w odwiedziny do Józia — widzę, majstruje coś zapamiętale przy zegarku. Nie pytam o nic, ponieważ wiem dobrze, że dłubanie w zegarkach, to jego hobby. Ot, wypoczynek po męczących trudach całodziennych zajęć.

— Skomplikowana maszyneria — rzucam tylko u wstępu dla zadzierzgnięcia tematu.

— Skomplikowana, jak dla kogo. Dla mnie nie zanadto.

— No jasne, bądź co bądź tyle lat dłubiesz w tych zegarkach...

— Nie chodzi o lata, tylko o talent. Kto nie ma talentu, ten buta porządnie nie zasznuruje, a nie dopiero mówić o zegarkach.

Zamilkłem. Spojrzałem niechętnie na własnego lewego buta, u którego zwisało źle przewiązane sznurowadło.

Pogadaliśmy jeszcze o tym i owym, głównie o jego pracach badawczych w instytucie, i pożegnaliśmy się wkrótce.

Po dłuższej przerwie wpadła mi w ręce fotografia Józia z lat dziecinnych. Boże, te wspólne lata szkolne, te niewinne igraszki, z koleżankami... Wzruszony pędzę wprost do Józia, którego zastaję tym razem zgiętego w ciemni nad stertą powiększeń fotograficznych.

— Wiesz, świetnie się składa — rzucam od progu. — Właśnie wpadła mi w rękę twoja stara fotografia, a ty akurat...

— A tak. Mam nowe hobby. Jak chcesz, to ci opowiem, na czym polega d o s k o n a ł e zdjęcie. Pokażę ci kilkadziesiąt przykładów z mojego dorobku.

— Ja też właśnie z fotografią mam trochę do czynienia — wtrącam — próbuję od paru lat, jak wiesz. Czasem mi nawet wychodzi. Uzyskałem niedawno nagrodę na konkursie.

— Co tam nagroda. Głupstwo. Mnie zawsze wychodzi. Popatrz — i wskazał na kupkę odbitek. — Poza tym trzeba stwierdzić, że ostatnio namnożyło się fotograficznych grafomanów co niemiara. Psują błonę i papier, a skutek pożal się Boże. Kryteriów nie ma stałych. Z tymi nagrodami też różnie bywa...

(Ciąg dalszy na str. 4)

O nowe formy działania

Od pewnego okresu w różnych środowiskach, a szczególnie w kręgach działaczy kulturalno-oświatowych toczyły się dyskusje, które chyba, mówiąc lapidarnie, bardzo dobrze charakteryzuje hasło: „i co dalej". Modne zawołanie uwarunkowane zostało istniejącym stanem naszej kultury. Nie można tutaj, to trzeba wyraźnie zaakcentować, mieć ładnych uwag i pretensji do podstawowej bazy, tzn. obiektów i placówek kulturalno-oświatowych. Jak na nasze warunki, dysponujemy pokaźną siecią świetlic, domów kultury, klubów itp., które są podstawą osiągnięć. Cała rzecz sprowadza się do koordynacji poczynań.

POD OBSTRZAŁEM PLACÓWKI KO

Liczby nie są atrakcyjną formą przekonywania, ale one najlepiej jednak ilustrują stan faktyczny. Przytoczmy więc kilka danych po to, by mieć dokładne rozeznanie. Otóż w naszym województwie pracuje 25 domów kultury, a w wioskach (nowa forma działania) 430 klubów-kawiarni GS oraz Prasy i Książki „Ruch". Mamy także 636 bibliotek dysponujących prawie 2,5-milionowym księgozbiorem. Trzeba tu powiedzieć, że tak biblioteki, jak też punkty wypożyczania nie ograniczają swej działalności li tylko do wymiany książek, ale w coraz szerszym zakresie organizują wiele bardzo atrakcyjnych i pożytecznych imprez. Są nimi wieczory autorskie, spotkania, konkursy czytelnicze, dyskusje nad ciekawą książką czy filmem itp. Taka praca nie pozostaje bez echa. Rokrocznie wzrasta liczba osób korzystających z bibliotek, wzrasta też czytelnictwo. Dla przykładu: w roku ubiegłym przybyło 80 tys. nowych czytelników, a wypożyczenia osiągnęły liczbę 1.200 tys. Statystycznie więc co piąty mieszkaniec naszego województwa korzysta z usług bibliotek. Aby obraz był pełny, trzeba tu jeszcze dodać 27 tys. telewizorów (w większości pracujących w placówkach kulturalnych) i 54 kina.

Jako się rzekło, jest baza warunkująca wszelkie poczynania kulturalne. Rzecz teraz w tym, nad czym zastanawiali się także uczestnicy dwudniowej narady sekretarzy propagandy KP PZPR, by różnym formom działania wszystkich placówek nadać określone ramy. Często bowiem jest tak, że biblioteka „dubluje" pracę klubu „Ruch", a dom kultury — wiejskiej świetlicy. Stąd też niektóre przedsięwzięcia z góry skazane są na niepowodzenie. Obsługa placówek kulturalno-oświatowych boryka się z rozlicznymi trudnościami. Dobór repertuaru dla wiejskiego zespołu amatorskiego, opracowanie perspektywicznego planu działania, niejednokrotnie stawia pod znakiem zapytania niektóre przedsięwzięcia.

„PROGRAMOWANIE" PRZEDE WSZYSTKIM

W tych określonych warunkach, zasadniczym problemem staje się koordynacja poczynań. „Władza" w jednym ręku może nadać całej działalności kulturalnej określone ramy. Staje się to koniecznością z różnych względów. Według dobrych prognoz, sieć klubów GS i „Ruch", placówek przyjmowanych wszędzie z „otwartymi rękami" i cieszących się dużym wzięciem, wzrośnie w najbliższym okresie do 600. Nie od rzeczy będzie więc zacząć od analizy lokalizacji niejednego klubu. Dotychczas całe przedsięwzięcie było dość przypadkowe. Na mapie „kulturalnej" naszych powiatów jest jeszcze sporo białych plam. Szczególnie w PGR, w których prawie zawsze jedyną placówką oddziaływającą kulturalnie na załogę jest klub. Z tym nierozerwalnie łączy się i drugi problem — odpowiedniego przygotowania „gruntu" do zorganizowania placówki. W myśl chyba bardzo słusznych założeń, klubami powinna się opiekować tak zwana rada złożona ze społecznych działaczy kulturalno-oświatowych i gwarantująca prowadzenie działalności na określonym poziomie. Praktyka wykazuje tutaj spore niedociągnięcia. W pracujących już placówkach jedynie trzy czwarte klubów ma rady programujące działalność. A jak odbija się to na codziennej pracy, chyba nie trzeba nikogo przekonywać. Klub w wielu przypadkach stał się dziwnym tworem, wcale nie mającym ambicji koordynowania poczynań kulturalnych swego środowiska. Często gęsto jego działacze nie przywiązują wagi do organizacji odczytu, pogadanki czy utworzenia „ośrodka wiedzy obywatelskiej" — tak ważnej przecież placówki oddziaływania społecznego i politycznego.

JAK JEST GDZIE INDZIEJ?

Choroby „wieku niemowlęcego", na które cierpią nasze kluby, gdzie indziej zostały już przezwyciężone. Warto tu odnotować inicjatywę Lublina. W klubach rozwinęły się i powstały (naprawdę ciekawa inicjatywa) „sekcje młodego rolnika", które organizują sporo interesujących ogół imprez. W ich gestii leży np. szkolenie rolnicze, ciekawe dyskusje nad przeczytaną książką, wieczory pytań i odpowiedzi, prowadzenie ośrodka informacji politycznej.

Nasze województwo też nie pozostaje w tyle. Lubaczów ze swoim Towarzystwem Przyjaciół Ziemi Lubaczowskiej i Brzozów z Towarzystwem Kultury są pierwszymi jaskółkami. Inicjatywa pierwszego polega na czynnym zaangażowaniu w poczynania kulturalne młodej inteligencji. W Brzozowie powstałe dopiero jesienią ubiegłego roku Towarzystwo Kultury w swej pracy sporo miejsca poświęca właśnie koordynacji działania poszczególnych placówek. Inicjatywy cenne i zasługujące na upowszechnienie. Obecnie bowiem przy olbrzymim rozwoju sieci placówek kulturalno-oświatowych konieczne staje się poświęcenie uwagi programom działania. Koordynację poczynań w przypadku jednego powiatu mogą przejąć na siebie komisje kultury rad, gdzie indziej sekcje kultury i oświaty działające w ramach komisji kultury KP PZPR, lub też społeczny organ złożony z działaczy kulturalnych. Ważne jest to, by współpraca między placówkami kulturalno-oświatowymi układała się jak najkorzystniej. Wówczas nie będzie mowy o dublowaniu pracy, a także faktach spłycania form działalności. A o to przecież chodzi i taka konkluzja nasuwa się z sanockiej narady.

(b)

Festiwal sztuk polskich w ZSRR

Pod patronatem Ministerstwa Kultury ZSRR odbędzie się w Związku Radzieckim w dniach od 14 do 20 maja br. Festiwal Sztuk Polskich. Utwory polskich autorów wystawione będą na scenach około 90 teatrów.

Dwie trzecie sztuk polskich wystawionych w okresie festiwalu reprezentuje tematykę współczesną. Będą to utwory L. Kruczkowskiego — „Odwety", „Niemcy", „Pierwszy dzień wolności" i „Przygoda z Vaterlandem". Sztuki te wystawione zostaną na scenach teatrów w Moskwie, Mińsku, Lwowie, Homlu, Simferopolu i w wielu innych miastach. Sztukę „Kuglarze" Z. Skowrońskiego wystawia teatry w Stawropolu i Permie, a utwór J. Janiadota — „Dziewiąty sprawiedliwy" — we Władimirze. „Ucznia czarnoksiężnika" W. Żółkiewskiej i St. Bugajskiego obejrzy publiczność Wołgogradu, Kalinina i Omska.

Ponadto szereg teatrów przygotowuje następujące sztuki: „Król Maciuś Pierwszy" — J. Korczaka, „Zielone rękawice" — T. Karpowicza, „Worek Judaszów" — Z. Nienackiego, „Wielki Bobby" — K. Gruszczyńskiego, „Ruchome piaski" — T. Chojnowskiego, „Znajda" — R. Niewarowicza, „Dwie Ewy" — M. Rusinka, „Kocha, lubi, szanuje" — T. Kożusznika.

Utwory te wystawione zostaną w języku rosyjskim i w językach narodowych takich republik, jak Ukraina, Białoruś, Litwa, Kazachstan, Azerbejdżan, Estonia, Kirgizja.

Teatry w Moskwie i Leningradzie interesują się także sztuką J. Broszkiewicza pt. „Przychodzę opowiedzieć".

Festiwalowy repertuar polskich sztuk klasycznych obejmuje: „Damy i huzary" oraz „Męża i żonę" — A. Fredry, „Moralność pani Dulskiej" i „Ich czworo" — G. Zapolskiej, „Grzech" S. Żeromskiego, jak również inscenizację „Chłopów" Reymonta.

(Bolesław Majtczak, Kt-PAP)

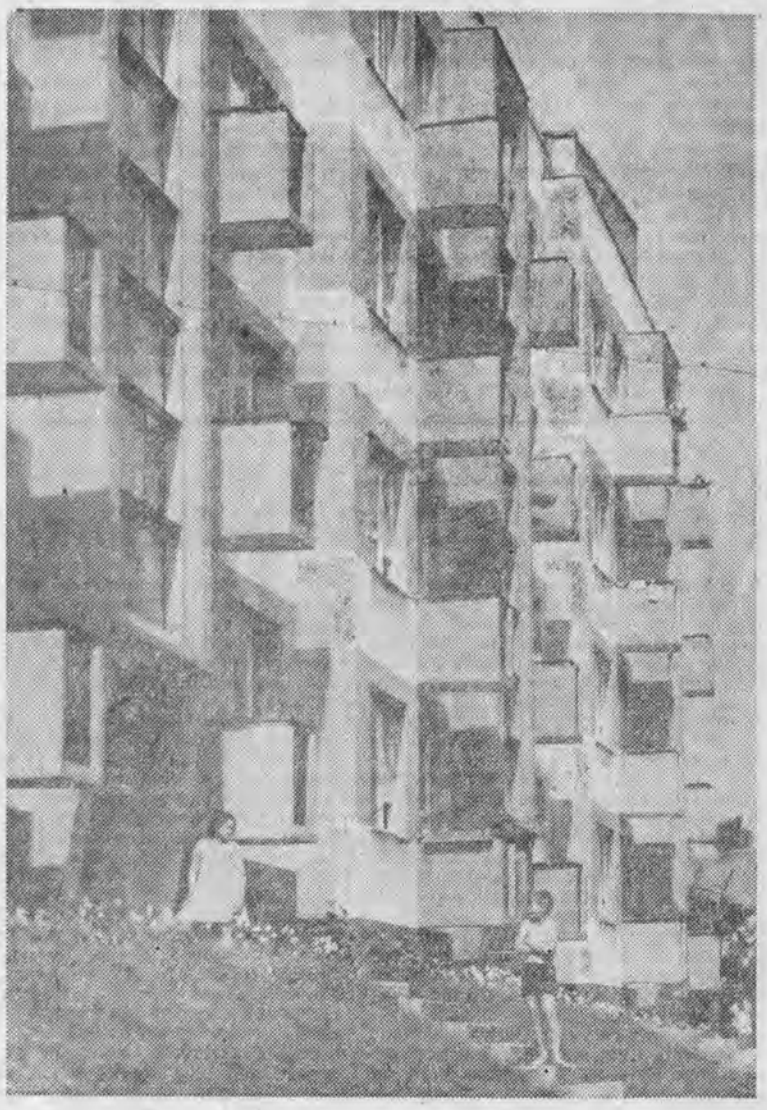

NOWE GORLICE Fot. ZDZISŁAW POSTĘPSKI

na wprost

Technika dobrego samopoczucia

Intelektualizację uznano powszechnie za jedną z głównych tendencji współczesnego teatru (zresztą w ogóle sztuki). Niewielu znajdziecie reżyserów, którzy wypuszczą na scenę sztukę obywającą się bez znaczącego „zawieszenia akcji", sygnalizującego widzowi konieczność natężenia władz umysłowych. Niewielu znajdziecie aktorów, którzy pominą okazję podparcia dłonią powolnie opadającej głowy, przeniknięcia widowni dogłębnym wejrzeniem podkrążonych oczu i przekazania jej metafizycznie groźnej wieści, że ciocia Klotylda „zmarła wczoraj w trzepocie białych motyli"...

Na teatralnym targowisku koń intelektu ma tak ustaloną markę, że zaglądanie mu zbyt głęboko w zęby byłoby pewnym nietaktem. Ograniczymy się przeto do pobieżnych oględzin.

Kiedy Jean Paul Sartre w swoim „Diable i Panu Bogu" mnoży scenę po scenie, komplikuje i łamie rysunek postaci, dręczy widza i aktora — jest mimo wszystko usprawiedliwiony: tę z czterdziestu czterech powodów nieudaną sztukę warto jednak wystawiać. A to zarówno ze względu na jej istotnie niebagatelną zawartość intelektualną, jak i ujmującą i prawdziwie dramatyczną cechę autora-filozofa: uporczywe i pełne napięcia poszukiwanie dróg doprowadzenia tej zawartości do widza. Sartre m a w i ę c p r a w o „męczyć" aktora i widza: ma dużo do zaofiarowania i stara się to, co osiągnął oddać ludziom.

Kiedy Jacek Woszczerowicz w swej niezapomnianej roli Józefa K. w „Procesie" mobilizuje wszystkie środki intelektualnego (choć n i e tylko intelektualnego) aktorstwa, aby przekonać widza o przeraźliwym zasięgu Kafkowskiej metafory — robi to, co robić powinien wielki aktor: podtrzymuje swoją sztuką niezwykle bogatą, lecz zarazem niezwykle kruchą konstrukcję tego „pouczającego koszmaru". Bez jego oczu, bez drobnego gestu jego dłoni „Proces" zwinąłby się na scenie w bezładną gmatwaninę: właśnie on kreuje tę niezbędną postać z w y k ł e g o, m y ś l ą c e g o i w a l c z ą c e g o człowieka, bez której wizja pisarza nie może apelować do intelektu odbiorcy, lecz tylko do jego nerwów...

Państwo zauważyli zapewne, że wspólną cechą tych rzuconych na chybił-trafił przykładów intelektualnej sztuki teatralnej jest: n a j p i e r w natęża swe władze intelektualne artysta, aby p o t e m i d z i ę k i t e m u zaapelować do intelektu odbiorcy. Istnieje jednak metoda odwrotna — intelektualizacji w cudzysłowie. Autor, reżyser, aktor m a r k u j ą wówczas proces myślowy i liczą na naiwność widowni.

Zręczny dramatopisarz szwajcarski Dürrermatt pisze np. swoich „Fizyków": ot, taka sobie komedio-farsa na tematy współczesne, z zawartością intelektualną dość nikłą, choć pretensjonalnie podaną. Jeden, drugi reżyser (w Polsce) bierze „Fizyków" na warsztat „ustawia" aktorów — którzy i bez tego śnią się sami sobie po nocach w roli Holoubka — i rąbie „wielki dramat współczesnego intelektualisty" z jednego fizyka z nieprawdopodobnego zdarzenia, dwóch farsowych agentów i jednej zwariowanej garbuski. Wszystko śmiertelnie serio i na ponuro: nawet tam, gdzie farsa aż krzyczy z tekstu, jeszcze zrobią z niej „metaforę". Widz siedzi, patrzy, słucha, temat bądź co bądź niebagatelny — wysadzą świat czy nie wysadzą — widz się mobilizuje, wytęża skołataną głowę...

Tu, oczywiście, należy przerwać: przecież „Fizycy", właśnie tacy na serio i na ponuro, cieszą się na scenie olbrzymin powodzeniem. Przecież bez pretensji do intelektualnych rozważań nie siada dziś do pisania sztuk żaden debiutant i nawet stare wygi piszące wyłącznie „na konkurs" coraz to wtykają w swoje teatralne zakalce sentencje ze „Słownika Myśli Współczesnej". Przecież nawet Gucio w „Ślubach panieńskich" robi dziś takie miny, jak by pytał Anielę, czy czytała Kanta. A pamiętacie zamglone mgiełką intelektualnej zadumy oczęta ślicznej „Beaty" z niedawnego filmu? Widocznie więc ludzie to lubią, ludzie na to chodzą.

Istotnie — ludzie na to chodzą, ponieważ ludzie dają się łatwo nabierać. Nigdzie może tak łatwo jak w teatrze. W teatrze największy cwaniak, któremu by nawet gang mięsny nie potrafił wrzepić kości do pieczeni, rozbraja się, rozpiera wygodnie w fotelu i za swoje 25 zł gotówką ma poczucie króla Ludwika; niech pokażą, co umieją.

Otóż teatr prawdziwie intelektualny może zmęczyć, nawet przygnębić trudnością zrozumienia, poderwać dobre samopoczucie, natomiast intelekt tylko markowany na scenie zyskuje u takiego widza wdzięczny poklask. Przecież po pierwszym natężeniu skołatanej, jakeśmy to zaznaczyli, głowy od r a z u w s z y s t k o r o z u m i e. To jednak znaczy, że jest bardzo mądry, zupełnie tak mądry jak autor, reżyser i aktor. Jest to zatem bardzo specjalny rodzaj rozrywki, nie zastąpi go żadna farsa ani kryminał. Z teatru markowanego intelektu ludzie wychodzą zadowoleni z siebie: dali się nabrać, ponieważ chcieli się dać nabrać...

Pozostaje kwestia, dlaczego właśnie w naszych czasach taki rozkwit tej teatralnej techniki dobrego samopoczucia? Z dwóch chyba głównie przyczyn.

Po pierwsze, czasy są trudne — choć tak zapewne sądziły o sobie wszystkie epoki — i trudno się w nich rozeznać.

Po drugie, teatr stał się sztuką demokratyczną: oznacza to nie tylko nowego widza, lecz również zanik dawnego podziału funkcji teatralnych.

Aby powyższe nie brzmiało zbyt tetrycznie, uznajmy na koniec, że s n o b i z m również pełnić może pożyteczną służbę. Pod warunkiem jednak, że nie prowadzi do zatarcia kryteriów, pomieszania wartości i zbyt już dobrego samopoczucia. Sokrates, cytowany przez Ksenofonta, mawiał, że cała bieda w tym, iż nie jesteśmy ani dobrzy, ani piękni, ani mądrzy, a przecież sądzimy, że nam to wystarcza. Prawdziwej sztuce przynależy uświadamiać, że nie jesteśmy i że to nie wystarcza.

KRZYSZTOF WOLICKI

Dr JÓZEF TKACZOW — działacz społeczny
Rys. J. SIENKIEWICZ

WIDNOKRĄG odpowiada

OB. ST. Z. RZESZÓW. Wiersz „Kwiat wolności" nie nadaje się niestety do druku. Nie skorzystamy.

„RADAR". Nie można pisać reportażu na podstawie cudzej relacji. Reporter musi sam wszystko widzieć, sprawdzić, prawie dotknąć. Dlatego nie możemy skorzystać z „reportażu", jak Pan to nazwał, o Forcie Pułaskiego.

OB. K. — SANOK. Wiersze są dość szczere i własne, lecz brak im dojrzałości formalnej. Trzeba może więcej pracować nad konstrukcją utworu, nad większą kondensacją myśli i obrazu. Prosimy o dalsze utrzymywanie z nami kontaktu i przysyłanie nowych wierszy, jeśli to Pani pomaga w pisaniu.

Najpopularniejsze wydawnictwo

Wśród ponad 30 tytułów, które ukażą się w tym roku w „Bibliotece Powszechnej", dwie trzecie stanowią utwory po raz pierwszy ukazujące się w tej masowej, taniej serii międzywydawniczej.

Z klasyki polskiej wyjdą (po raz pierwszy) w „Bibliotece Powszechnej" — w 50-tysięcznych nakładach — „Chłopi" Reymonta i „Popioły" Żeromskiego.

Z książek polskich pisarzy współczesnych ukażą się w tej serii: „Oficer największych nadziei" Mariana Brandysa, „Dziesięć serc czerwiennych" Janiny Broniewskiej, „Pamiętnik warszawski" Sabiny Dłużniewskiej, wspomnienia „O Stefanie Żeromskim" Hanny Mortkowicz-Olczakowej. Ponadto wyjdą wybory opowiadań — Stanisława Lema, Gustawa Morcinka, Jerzego Putramenta, Wojciecha Żukrowskiego i szereg powieści współczesnych, m. in. „Agnieszka córka Kolumba" Wilhelma Macha, „Wrzesień" Jerzego Putramenta, „Z barykady w dolinę głodu" Michała Rusinka, „Polska jesień" Jana Józefa Szczepańskiego.

Ponadto w tegorocznym wykazie utworów, które przeznaczono do wznowienia w tej serii, znajdują się: „Opowiadania" Marii Konopnickiej, „Koniec naszego świata" Tadeusza Hołuja, „Sława i chwała" Jarosława Iwaszkiewicza, „Granica" Zofii Nałkowskiej; z przekładów — „Odyseja" Homera w tłumaczeniu Jana Parandowskiego, „Czerwone i czarne" Stendhala, „Nieszczęsny narzeczony Aurelii" Marka Twaina, a z obcej literatury współczesnej: „Czerwone liście" Williama Faulknera, „Komu bije dzwon" Ernesta Hemingway'a i „Droga przez mękę" Aleksego Tołstoja.

ROMUALD LENECH

Przyjaciel Józio

(Ciąg dalszy ze str. 3)

Zmieniłem szybko temat, wskakując na sprawę moich ostatnich zainteresowań erotycznych. Przebąknąłem coś o wiosennym samopoczuciu i o moim guście do rudych. Józio przerwał mi rzeczowo:

— Miałem jedną rudą, ale odkąd zauważyłem, że rude gustują namiętnie w kretynach, dałem sobie spokój. Oczywiście mówię to jak najogólniej i bez żadnych aluzji — uśmiechnął się blado i łagodnie, jak zwykle, kiedy rozmawiał ze mną.

Zaczęliśmy obaj uśmiechać się blado i łagodnie i jakoś zeszło nam tak do wieczora. Józio okazał nawet pewne zadowolenie, kiedy, powodowany troską o jego zdrowie, wypytywałem go, czemu taki mizerny, i czy się przypadkiem nie przemęcza. Próbowałem jeszcze poinformować go, że, być może, zmienię posadę, ale mi wpadł w porę w słowo:

— Pogadamy, kochany, kiedy indziej. Mam teraz ważne spotkanie.

Na tym stanęło. Po powrocie do domu zastanawiałem się głęboko i wnikliwie nad naszą przyjaźnią. W głowie mej powstał desperacki projekt wstrząśnięcia do dna przyjacielem Józiem, ponieważ wydawało mi się, że mię trochę nie docenią i że nie umie wejść w moje położenie.

— Marny taktyk ze mnie — wyrzucałem sobie — a gdzie wyobraźnia? Trzeba zastosować parę niewinnych chwytów, a flegmatyczny Józio stanie się bardziej wylan:. To bardzo fajny chłop, tylko widocznie ma kompleksy.

— Jak się masz — witam u wstępu nowych odwiedzin — opowiem ci dzisiaj moc ciekawych rzeczy.

— Chętnie posłucham.

— Wyobraź sobie — łgam na zimno — tydzień temu wyszedłem z gipsu po złamaniu nogi. Co ty na to?

— Teraz wszyscy łamią nogi. Ślisko.

— Moja siostra Zosia uległa samochodowemu wypadkowi i leży z połamanymi żebrami w szpitalu na ulicy Mijałkiewicza.

— Też pech. Znam ten szpital, bo go fotografowałem. Chcesz, pokażę ci zdjęcie...

— Bardzo chętnie, Józiu, ale wątpię, czy cokolwiek zobaczę, ponieważ moje lewe oko to już tylko proteza. Właśnie miesiąc temu, chcąc powąchać kaktusa, zbliżyłem się nieostrożnie i kolec, rozumiesz, wbił się...

— Proteza? Świetnie dobrana. Nic nie poznać. Ja też mam swój kłopot. Dostałem cholernego łupieżu.

Dochodziłem do głównej stawki:

— Wylali mię z posady. Z rozpaczy wałęsałem się trzy dni po mieście. Pod moją nieobecność okradli mię doszczętnie. Wychodząc, sufit zawalił się w pokoju tuż nad moją głową. Cudem uniknąłem śmierci — wyrzuciłem z siebie desperacko, nie patrząc przyjacielowi w oczy.

Słowa moje musiały uczynić na Józiu oczekiwane wrażenie, ponieważ zapadł w dłuższą zadumę i przez kilka minut jak gdyby pasował się z jakąś myślą. W końcu przezwyciężył opory i odezwał się:

— Sufit — powiadasz, okradli cię. Żeby ci się tylko samemu nie stało co złego. — Wiesz — podrapał się w głowę — miałbym prośbę. Wiem, że posiadasz samochodową książeczkę oszczędnościową. Przepisz ją na wszelki wypadek na moje nazwisko. Zawsze będzie ci przyjemnie mieć świadomość, że twoim wozem nie będzie się rozbijał żaden obcy facet, tylko przyjaciel. No nie?

Od tego czasu nie widuję się z Józiem. Coś między nami wygasło, ochłódło, coś się popsuło. Jestem nawet przekonany, że to z mojej winy. Kiepski taktyk ze mnie. Nie umiem ludzi ośmielać. Nie znam się na kompleksach.

zdarzenia tygodnia

W województwie rzeszowskim odbywają się eliminacje środowiskowe IV Ogólnopolskiego Konkursu Piosenkarzy Amatorów, wykonawców piosenki radzieckiej.

Eliminacje takie odbyły się już w Rzeszowskiej Chorągwi ZHP i w Jarosławiu.

Eliminacje wojewódzkie odbędą się w dniach 15—16 maja w Rzeszowie, a na zakończenie zorganizuje się koncert laureatów.

* * *

W poniedziałek zakończyły się w Przemyślu III Spotkania Teatrów Lalkowych Polski południowej.

Program wypełniły występy zespołów: Teatru Lalki i Aktora „Kacperek" w Rzeszowie, „Świerszcza" z Białegostoku, „Kubusia" z Kielc oraz Teatru im. Ch. Andersena z Lublina, dyskusja lalkarzy oraz zebranie Polskiego Ośrodka Międzynarodowej Unii Lalkarskiej i wybór władz.

* * *

28 bm. w łańcuckim Zamku odbył się, zorganizowany przez Państwową Orkiestrę Symfoniczną w Rzeszowie koncert laureatów Ogólnopolskiego Konkursu Młodych Talentów (absolwenci krajowych wyższych szkół muzycznych). Wystąpili: Kazimierz Moszyński (flet), Beniamin Przeździek (klarnet) i Jerzy Sulikowski (fortepian). Orkiestrą POS dyrygował Tadeusz Chachaj. 29 wystąpili: Bogumił Gadawski (fagot) i Kazimierz Gierżod (fortepian). Koncert prowadził Janusz Ambros.

* * *

W przemyskim Muzeum czynna jest wystawa malarstwa dr medycyny Henryka Jankowskiego.

Znany przeworski lekarz od wielu lat trudni się tą dziedziną sztuki i osiągnął niemałe sukcesy. Po wojnie już jako członek Związku Polskich Artystów Plastyków brał udział w wielu wystawach, m. in. w Krakowie i Rzeszowie.

* * *

W Przemyślu powstało ostatnio koło Towarzystwa im. Marii Konopnickiej. Zrzesza ono około 40 miłośników literatury polskiej. Prezesem wybrano ob. Marię Nogową.

* * *

W dniu 24 bm. w ramach sobotnich imprez Klubu Literackiego w Rzeszowie odbyło się spotkanie z Wisławą Szymborską.

Poetka odczytała kilka swoich utworów, a następnie wzięła udział w dyskusji na temat współczesnej poezji.

* * *

Dzieje walk o Przemyśl podczas I wojny światowej obrazuje urządzona w Muzeum Ziemi Przemyskiej wystawa pt.: „Przemyśl w I wojnie światowej".

Wiele słów uznania należy się organizatorowi wystawy, ob. Janowi Różańskiemu, który zgromadził na ten temat wiele cennych dokumentów, eksponowanych na obecnej wystawie.

* * *

Wiejski zespół teatralny Związku Teatrów Amatorskich w Łazach Dębowieckich (pow. Jasło) wystawił ostatnio premierę sztuki Jesionowskiego pt. „Milion".

* * *

Ostatnio odbyło się zebranie członków Amatorskiego Klubu Filmowego „Rzech" przy Zakładowym Domu Kultury WSK w Rzeszowie.

Żywotny kiedyś klub, zawiesił działalność z powodu powstałych zatargów między członkami Zarządu Klubu, kierownictwem ZDK i Radą Zakładową Wytwórni. Burzliwa dyskusja nie przyniosła żadnego efektu.

My, ze swej strony, stwierdzamy jedynie, że wynikłe zatargi i dymisja zarządu nie powinny odbijać się tak fatalnie na dalszej działalności klubu.

Korespondencja

Szanowny Panie Redaktorze!

Zostałam delegowana przez Wydział Kultury Prez. PRN w Gorlicach do Wydziału Kultury w Nowym Sączu, a zarazem skorzystałam z zaproszenia nestora piastyków amatorów ziemi rzeszowskiej, p. Alfreda Długosza z Gorlic. Nowosądecki Wydział Kultury urządził wystawą jego obrazów w Starym Sączu.

Do Starego Sącza wyjechaliśmy dnia 2 kwietnia br. Stary Sącz — miasto muzeum, nad którym czuwają krakowscy konserwatorzy, robi dziwne wrażenie, czuję się jak bym nagle przeniosła się w ubiegłe stulecia. Miasto idealnie czyste, parterowe domki ze schodami i gankami w ogródkach, ornamentowane, pomalowane jasnymi pastelowymi barwami. Spokój i cisza kojące nerwy skołatane pędem miejskiego życia.

Jesteśmy w zabytkowym domu, zwanym „Na dołach". Tu jest wystawa. Sala na I piętrze. I tu doznaję dziwnego uczucia — jakie to piękne. Sufit belkowany, z kasetonami, na ścianach kinkiety bardzo dyskretnie rozmieszczone. Z powały zwiesza się żelazny świecznik, na środku stół, pod ścianami krzesła — wszystko w stylu pienińskiej góralszczyzny. Sala szybko się zapełnia. Wystawę otwiera przewodniczący Prez. MRN Starego Sącza. Wita A. Długosza i bardzo ciekawie mówi o dyletantach i znaczeniu ich twórczości dla sztuki. Życzy następnie Długoszowi długich lat twórczych i zdrowia. Z kolei mówił zastępca prezesa Towarzystwa Przyjaciół Sztuk Pięknych w Nowym Sączu, podnosząc walory twórczości Długosza, jego próby, doświadczenia i eksperymenty w ujęciu formy, kolorytu i wyrazu. Potem delegat Miejskiej Rady Narodowej wręczył Długoszowi wiązankę czerwonych goździków. Głos zabrał A. Długosz, który ze swadą przedstawił bieg swojej pasji twórczej, która nagle wybuchła, bo tak można określić, 30 marca 1958 r. Wystawa jego w Starym Sączu jest 63 kolejną wystawą w ciągu 7 lat jego twórczości.

W Nowym Sączu wstąpiliśmy do Towarzystwa Przyjaciół Sztuk Pięknych. Na piętrze biuro Towarzystwa i Klubu Plastyków Amatorów oraz galeria obrazów. Oglądamy galerię. Zbiorowe portrety Barbackiego, świetnego portrecisty, zasłużonego działacza społecznego, który zginął w Oświęcimiu. Poza tym kopie sławnych dzieł sztuki. Pokazano nam także albumy, które Towarzystwo otrzymało z Ameryki — album Muzeum sztuki nowoczesnej w Nowym Jorku oraz albumy z Londynu. To dary Polonii zagranicznej.

Stary Sącz trzeba zobaczyć w dniach „Tygodnia folkloru" we wrześniu. A może by Rzeszów, który ma tak dobrą komunikację z Nowym Sączem zaplanował wtenczas szereg wycieczek dla popularyzacji folkloru pienińskiego. Trzeba by to rozważyć.

Łączę serdeczne pozdrowienia dla całego zespołu redakcyjnego.

ALINA KRETOWICZ

Wydaje Wydawnictwo Prasowe „Nowiny Rzeszowskie" — RSW „Prasa". Adres redakcji: Rzeszów, ul. Żeromskiego 5. Telefony: 2056, 2057 — wewn. 198. Materiałów nie zamówionych redakcja nie zwraca.